Edward Remliger

Sygnatura notacji: **N1370**
Data urodzenia: **06.06.1930 r.**
Data nagrania: **13.06.2019 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Gdynia, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**
Czas nagrania: **54 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**

TRANSKRYPCJA

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Edward Remliger: Jestem Edward Remliger. Urodziłem się 6 czerwca, 1930 roku w Sochocinie. Takim małym miasteczku. I tam się wychowywałem cały czas, aż do okupacji. W tym czasie jeszcze pierwsze lata, 1939 rok i 1940 to jeszcze tę restaurację prowadziliśmy, bo mój ojciec to tak na owe czasy obecne, to by to nazwał gospodą. Nie restauracja. Ale wtedy to było modne nazywanie restauracją, a na przykład chodnik: trotuary. Nie wiem, dlaczego, skąd to wynikało. I tam prowadziliśmy do okresu okupacji, kiedy Niemcy wyszli. Więc jeszcze 1939 rok to był spokój i 1940 rok. Z uwagi na to, że my mieliśmy nazwisko takie trochę niemieckie, Remliger, to często przychodzili do nas folksdojcze i namawiali, żebyśmy przyjęli listę. Ojciec mówi: „- Nie. Ja jestem Polakiem. Nazwisko jest takie, po ojcu dostałem i takie mam. Nie. - To pan nie będzie prowadził restauracji". W przeciągu pół roku nas wyrzucili z tej restauracji, zabierając wszystko. I zajął taki folksdojcz z Sochocina, nazywany Buksztalerem. Oni nam zabrali tę restaurację, a nas do zastępczego tego mieszkania przenieśli, dlatego, że ojciec nie chciał się zgodzić na podpisanie listy. Ale jeszcze były takie zdarzenia, które jeszcze prowadziliśmy. Kiedyś było takie zdarzenie, przyjechali Niemcy, taka wioska była za Sochocinem, Biele. I przyjechali trochę podpici, jak normalnie do restauracji, tam zjedli coś i bardzo się źle zachowali w stosunku do mojej mamy. Zaczęli się bardzo wulgarnie i tam się, jak to mówią, dobierać i ojciec się zdenerwował, i doszło do bicia między sobą, ale ten drugi jakoś uspokoił, mówi: „Ja pana wyślę do obozu". Odciągnął tego drugiego, a ja tam byłem schowany za kontuarem. Tam taki był kontuar w tym pomieszczeniu i widziałem, co robi, i od tej pory taką nienawiść czułem do tych Niemców, że chcieli skrzywdzić moją mamę. To były właśnie takie pierwsze dni tej okupacji.

Dorota Grzechocińska: A jak byśmy jeszcze na chwilę wrócili do tego, co się działo przed. Jak wyglądała pana rodzina? Jaka to była rodzina?

Edward Remliger: Nas było troje dzieci. Ja byłem najmłodszy, potem była siostra Marta i brat Tadeusz. Tak mówiąc między nami, to najbardziej zdolny był i elokwentny ten Tadeusz. On tam chodził, w Sochocinie ukończył siedem klas szkoły podstawowej, ale nie było pieniędzy, bo żeby dostać się do liceum, to by musiał dojeżdżać do Płońska. A w ten czas w liceum trzeba było czynsz opłacać. Czesne, o. Nie czynsz, tylko czesne opłacać. Nie mieliśmy na to pieniędzy, pomimo, że tę restaurację prowadziliśmy. Nie było głodu, ale nie było kokosów. Brat tam chodził do szkoły. Ukończył siedem klas w Sochocinie i został pierwszym drużynowym Harcerstwa Polskiego tam właśnie w Sochocinie. Siostra to chodziła jeszcze chyba, bo ona o dwa lata ode mnie jest starsza, chodziła do szkoły też podstawowej, a ja tam tylko dwie klasy skończyłem tej szkoły w tej nowej szkole i już wybuchła wojna. No, jak to ta... Aha, jeszcze tam było też ciekawe, może to trochę przeskakuję, jak weszli Niemcy. Takie miałem spotkanie. To była artyleria niemiecka i my z takim drugim, Jankiem Kochanowskim, on już nie żyje, z Sochocina, poszliśmy zobaczyć, jak to wojsko wygląda. Oni w tym czasie jedli obiad i jeden się z nas zapytał, czy my byśmy nie zjedli. Po niemiecku, ale zrozumiałem, bo pokazał. I nas poczęstowali w ten czas zupą owocową. I mówię: „Niemcy nie są tacy źli. Może to być". Ale to takie odczucie tylko dziecinne. Tam więcej to tam nic nie było, tylko tę restaurację prowadziliśmy. Oczywiście przed wojną było tak, że największy popyt to był czwartek, kiedy był jarmark. Kiedy się zjeżdżali z gmin wszystkich chłopi, handlowali i sprzedawali. W ten czas jak sprzedał konia czy krowę, to był tak zwany „lipkup". Przychodzili do restauracji i musieli tam kieliszek wódki wypić i coś zjeść. Chyba tak mniej więcej to było tak przed wojną.

Dorota Grzechocińska: A Sochocin pana dzieciństwa jak wyglądał? Kto tam mieszkał?

Edward Remliger: Tam mieszkało tak, trzeba powiedzieć, że mieszkało dużo Żydów. Jakieś, ja uważam, 30% to było Żydów, ale my z nimi się dość dobrze kontaktowaliśmy. W tym budynku, co ja byłem jako dzieci, bo to dziewięć lat miałem w ten czas, to my z tymi Żydami się tam normalnie... Nie odczuwało się, że to jest Żyd, czy coś innego. Normalnie. Z tym że to byli biedni Żydzi. I my się bawiliśmy razem, razem spędzaliśmy czas. Taka góra była Zelmana i my tam zjeżdżaliśmy z tej góry jako dzieci. A tam przedtem się wodą polewało, ale nie było na czym zjeżdżać, to się zjeżdżało na takich blachach. To było ciekawe, bo to aż na Wkrę, bo to mieszkanie w Sochocinie to było 30 metrów od Wkry, co ja mieszkałem z rodziną. To tam się najczęściej bawiliśmy. I tam przed wojną to jeszcze uczyłem się jeździć na łyżwach, to brat mnie uczył. On miał jakąś taką kurtkę długą, a łyżwy to trudno było o takie normalne. Były do butów przykręcane i żabki albo się samemu robiło drewno i pręt się podbijało pod to i sznurkami się przywiązywało do nogi, i się jeździło. Brat mnie uczył. Ja go zawsze trzymałem za poły a on mnie ciągnął. I tak się nauczyliśmy jeździć. I bardzo często znów się spotykaliśmy nad Wkrą. Ja miałem chyba sześć lat, to już dobrze pływałem. Tam jest taki... Tu na fotografii będzie można zobaczyć, młyn stał i był most drewniany. I my z tego mostu te bariery... Popisywaliśmy, było trochę niebezpiecznie, skakaliśmy. Potem przepływało się kawałek wodą i wracało z powrotem. To takie dziecinne rzeczy były. A brat był w harcerstwie i tym drużynowym, tak że już na obozy jeździł. Tyle, co pamiętam.

Dorota Grzechocińska: Niemcy też mieszkali w Sochocinie?

Edward Remliger: Tak. Było parę kolonii. Jedna, mieszkali koło szkoły. Właśnie ten Buksztaler i inni, a nawet sklep był niedaleko naszej restauracji. Taka Niemka miała z materiałami. Z tym, że oni byli tacy kontaktowi. Najgorzej to byli chyba ci folksdojcze i inni, co nam zabrali i potem tak się źle zachowywali niepotrzebnie, ale to było dobre współżycie

między Żydami, Niemcami, nie było problemu. Ja pamiętam, że nawet taki chłopak chodził ze mną do szkoły, też Niemiec, to ja go zaprosiłem, bo ja w ten czas w zuchach byłem. Ja jeszcze w harcerstwie nie, bo za młody. I mówi: „- Ty też ze mną? - Tak. Przystępuję do twojego zastępu". Tak to była taka współpraca. Oczywiście były też momenty takiej trochę, nie wiem, propagandy pod koniec już, żeby nie kupować u Żydów, tylko u Polaków. Nie wiem, dlaczego, ale takiej propagandy trochę było. Chociaż w moim budynku to mieszkał taki krawiec, szewc żydowski, ale to byli biedni Żydzi. Aha, i jeszcze jeden taki moment pamiętam sprzed wojny. Właśnie ten krawiec miał syna i ta pani, nie wiem, jakie ona miała nazwisko, ta Żydówka. Przychodziła i mówi: „Panie Remliger, ten mój Icek..." Calek. Nie Icek tylko Calek on miał na imię. „nie chce jeść". Jakie było potem zdarzenie? Jak nas wysiedlili do obozu do Pomiechówka, ta przyszła i mówi: „Pani Remliger, czy pani nie ma kawałek chleba? On ma taki apetyt, a ja nie mam co mu dać jeść". Tak się to odwróciła ta sprawa.

Dorota Grzechocińska: A jak oni się nazywali?

Edward Remliger: Nie wiem. Ja tylko pamiętam imię tego chłopaczka małego, Calek. A nazwiska nie pamiętam. Tam był taki jeszcze jeden, ale to rzeźnik, to jego pamiętam, że Mendel się nazywał, miał nazwisko. Ale on prowadził sprzedaż mięsa. Z tym że jak była taka tradycja, że jak na przykład ojciec kupował mięso, bo było potrzebne na przygotowanie posiłków dla gości, to on też przychodził do nas, do ojca i mówi: „Panie Remliger, proszę mi nalać setkę". On wypijał. „Pan też powinien ze mną wypić, bo pan u mnie kupuje mięso". Jeszcze taki drugi mam przykład sprzed wojny. Ojciec palił papierosy Grand, takie były z munsztukiem. I po drugiej stronie była kawiarnia, którą prowadziła pani Kawa. Takie nazwisko było. Nawet jej syn czy wnuk przyjeżdżał tu z Izraela do Sochocina. I ojciec mnie wysyłał po papierosy. Ja biegłem i kupowałem. Ona mówi tak: „Edek, ty zawsze do mnie przychodź. Jak będziesz kupował u mnie papierosy, to ty za dwa grosze będziesz miał loda". I tak dostawałem. Tak to było. To takie trochę żywsze historie sprzed wojny.

Dorota Grzechocińska: A sąsiedzi jak się nazywali? Polacy. Ci najbliżsi.

Edward Remliger: Wardziński. Bo to nie był nasz dom. Myśmy wynajmowali od pana Lubienieckiego. On tu był, a żona jego była w Warszawie. To my od nich wynajmowaliśmy. To byli tacy sąsiedzi. Potem była taka krawcowa, ale nazwiska nie pamiętam. Wardziński mieszkał też obok nas z tych najbliższych sąsiadów i Kochanowski, z którym tam... Kolega mój taki był, Janek Kochanowski, z którym ja się kolegowałem. I znów tu jest fajna historia. U nas było dość dobrze. Bo tej żywności było. Może nie była bieda do innych spraw, a u nich było troszkę ciężej. A ja zawsze lubiłem do nich i oni mieli 11 dzieci, ta pani Kochanowska. To jeszcze, tak samo jak pół Sochocina to są Kochanowscy. I nie chciałem jeść w domu, ale bardzo mi smakowało, jak oni siadali. Wspólna taka miska była, nie wiem, co to za zupa była, czy to były kluski z mlekiem, że mnie tam najlepiej smakowało. Ja mówię: „Mama, tam mnie tak smakuje, jak oni wszyscy jedzą, a ja razem z nimi". Właśnie to jest takie odczucie dziecka, czy tam chłopczyka.

Dorota Grzechocińska: Przyszedł wrzesień 1939 roku, zaczęła się wojna. Jak ta rzeczywistość się zmieniła?

Edward Remliger: Więc ja wojnę z początku tak pamiętam, że to było 1939 rok i pierwszy wjechał na motocyklu

taki zespół niemiecki z karabinem maszynowym. Dojechali do rynku koło kościoła i tam właśnie koło tego sklepu Wodzyńskich stanęli. Weszli do tego sklepu, wzięli jakieś słodycze, popatrzyli i szli z powrotem. To było takie pierwsze spojrzenie. Potem drugie, to jak już przechodziły wojska niemieckie, co mówiłem o tej artylerii i o tej zupie, że tam nas poczęstowali, to było takie spotkanie z Niemcem, ale w pierwszej fazie nie było agresji. Przynajmniej w tym miasteczku. Agresja w zasadzie zaczęła się od folksdojczów, bo oni zaczęli zabierać nam. I w zasadzie wysiedlenie nas z Sochocina to było spowodowane agresją tych folksdojczy, bo oni chcieli przejąć mienie po Polakach. I tak przejęli. Jest przykład na mojej rodzinie, bo całą restaurację zajęli i dom zajęli, i mieszkanie, i cały sprzęt. Tak że nam tam mało co zostało. Tak że to była agresja początkowa. I jeszcze też taka ciekawa rzecz, jak zaczęła się wojna, to wszyscy uciekali. My też z Sochocina, z całego miasta uciekaliśmy do Kozimin. Tam do babci. I tam zawsze każdy coś brał. I ja nie wiem, dlaczego, że najważniejszą rzeczą, którą wzięliśmy, obraz Matki Boskiej. Ten obraz był do dzisiaj u siostry, pamiętam. Nie wiem dlaczego, zamiast jakieś inne, prawda, to my z obrazem uciekaliśmy siedem kilometrów do Kozimin przed Niemcami. Ale po jakimś czasie wróciliśmy z powrotem. Brat też z ojcem pod Warszawę podeszli, ale potem znów wrócili. Każdy trochę się bał tych Niemców, bo nie znaliśmy ich, jak się będą zachowywać. To tak to wyglądało.

Dorota Grzechocińska: Nadszedł ten moment...

Edward Remliger: Wysiedlenia. To się zaczęło w 1941 roku. Chyba to było w marcu. 6 marca. Ja tam mam dokładnie datę, ale tak to było, 6 marca. Rano to było, tak gdzieś o 4:00 rano pobudka. „Wychodzić, tylko wziąć tyle, co możesz do ręki" A my taki płacz, szum, nie wiemy, co robić, bo to było w nocy, a oni: „Raus, raus!". I wszystkich nas wypędzili obok kościoła. Tam było takie ogrodzenie, jest teraz z kamienia zrobione. Zresztą było przed tym też. I tam spędzili pół Sochocina chyba, bo nie wszystkich aresztowali. Najwięcej aresztowali tych, co Niemcy chcieli, folksdojcze zabrać to mienie Polaków, to tych wszystkich właśnie spędzili koło kościoła tam. Nie wiedzieliśmy co dalej. Również tacy kuzyni to byli. Kurkowski, który prowadził piekarnię w Sochocinie i my też tam razem. I Żydów spędzali tam razem. I potem już tak jak zaczęło świtać troszkę, podjechały samochody, takie budy niemieckie duże: „Wsiadać", mówili. Nie mówili, gdzie jedziemy, gdzie nas wywożą. I okazało się, że nas wiozą do Pomiechówka. To ja pamiętam tę bramę, jak się wchodziło. Wysiedliśmy, bo tam była taka wioska Stanisławów niedaleko, gdzie potem jeździli po wodę. I do tych lochów tam. My trafiliśmy, tak jak mówiłem, takie pomieszczenia dawne, które były chyba sprzed pierwszej wojny, bo tu były Forty. I były takie dwa czy trzy duże pomieszczenia, gdzie Polaków tam wpędzali. Była słoma po jednej i po drugiej stronie, nie było żadnej pościeli. To, co wzięliśmy, to było, tam macie jakąś kołdrę czy koc jakiś tylko ktoś miał, nic więcej. Tak spaliśmy w ubraniach. Zresztą tam ani wody nie było, ani nic. Tak że my akurat byliśmy, nasza rodzina i rodzina Kurkowskich z Sochocina. Ten, co właśnie piekarnię prowadził. I my tam byliśmy. Nie wiedzieliśmy, co dalej. Z tym, że były tam ciężkie warunki, bo przede wszystkim wody nie było. Były tylko te posiłki, tylko była kawa, chleb dawali, a potem ja tylko pamiętam, że zawsze były kartofle, i kasza, i to do tego przypalone, cholera, nie wiem dlaczego. To było takie wyżywienie. A dalej byli, nie mieszkali, byli Żydzi, to do takich lochów ich wpędzili. Tam nie było okien, tylko drzwi były. Tam chyba przechowywano kiedyś przed wojną jakąś amunicję prawdopodobnie. I oni tam mieli bardzo złe warunki. Ich traktowali bardzo ciężko. I pamiętam taki moment też jeden. Nie wiem dlaczego, w takim kąciku, jak my wchodziliśmy do tych swoich lochów, było takie skupisko i tam siedziała Żydówka. I pierwszy raz w życiu widziałem, że może być mrowisko ze wszy. Jadły ją, po prostu tak chodziły jak mrowisko po niej. Ja nie wiem, dlaczego ja to zapamiętałem, ale tak zapamiętałem. Tak mnie to... Jakiś straszny

widok to był, nawet jak ja mając tam 11 czy 12 lat w tym czasie. To było to najgorsze. A tak to zawsze się wychodziło, bo to trochę słońce świeciło, to były takie, że każdy zdejmował koszulę i wszy się zabijało. Wszędzie wszy mieliśmy w koszulach. Bo był taki brud i tych wszy, to najbardziej pamiętam z tych rzeczy. I tam się zdarzyło, bo tak gdzieś na miesiąc przed wypuszczeniem, że chciałem uciec, nie mając pojęcia, namówiłem drugiego kolegę, Kowalkowski Ryszard, Rysiu. I mówię: „Słuchaj, my tu uciekniemy z tego. Ale nie mówiąc ani rodzinie, ani nic". To takie podświadome, nie wiedząc, że w ogóle się wydostaniemy. I między murem a takim lochem było takie wejście odrutowane drutem kolczastym. My to trochę rozsunęliśmy i wyszliśmy. Wyszliśmy na górę, ale patrzymy, tu jest duża fosa, 20 metrów szeroka i głęboka, gdzie my tu pójdziemy? Usiedliśmy na górce i tak medytujemy, gdzie my mamy dalej iść. A się okazało, że w tym czasie był tam dalej strażnik niemiecki. On nas zauważył. Zaczął strzelać. I my uciekliśmy. Z tym, że dziwnie to się stało, że ja to uciekłem od razu do obozu i zamieszkałem tu, a jego złapali. I widać go tam bili mocno, i jego rodzinę, bo potem się dowiedziałem, że i mamę, i ojca. I jemu powiedzieli: „Z tobą był jeszcze jeden", a on mówi: „- Tak. - To zaprowadź". I on przyszedł z nim do mnie. On mówi: „To byłem z nim". To ten wziął pistolet, mówi: „A gdzie jest twoja rodzina?", ja mówię: „Nie wiem". A rodzice stali niedaleko. On mnie uderzył takim rewolwerem tu w skroń, ja się przewróciłem, zacząłem płakać, jak to dziecko. – „Ja nie wiem tego. - Mów gdzie jeszcze masz rodziców. - Nie wiem". Rodzice w tym czasie widząc, co się dzieją, odsunęli się. I taki był zbieg okoliczności. W tym czasie przyjechało gestapo do Pomiechówka, robić segregację z Żydami. Część Żydów wywozili, nie wiem, do obozu i może część Polaków do Działdowa. I w ten czas jego zawołali. I to się stało, że potem już nie wracał do tej sprawy. Dlatego się uratowaliśmy, że mojej rodziny nie było. Nie było jakiegoś tam bicia, żeby puścił dziecko. To było to największe takie zdarzenie, które miałem właśnie w Pomiechówku.

Dorota Grzechocińska: Panie Edwardzie, a czy pan pamięta, jak wyglądał taki dzień codzienny tam? Jak się rano wstawało.

Edward Remliger: Proszę pani, to monotonia była. Tam nie było niczego, było tak dziwnie trochę. Bo to były i dzieci, i kobiety. Z tym, że zawsze był problem. Widziałem, że ciągła była segregacja z Żydami. Co jakiś czas przyjeżdżali i częściowo wywozili. Nie wiem, czy do obozu, czy gdzieś, ale wywozili. I u nas była tylko raz segregacja. Może nie segregacja, ale wybranie młodych ludzi, Polaków do prac za wojskiem niemieckim. Do prac fortyfikacyjnych. To było wtenczas. To wtedy chyba wybrano jakichś 30 czy 40, w tym między innymi mojego brata też zabrali. To była taka pierwsza. A tak to nic się nie działo. Taka monotonia. Jeździli po wodę, chodzili. Nikt nas do niczego nie zmuszał tam w tym czasie.

Dorota Grzechocińska: Dzieci mogły swobodnie biegać?

Edward Remliger: Tak. Mogły chodzić. Ja chodziłem, bo na przykład tam kopali, jak przyjechaliśmy, bo tam nie było ubikacji, to takie latryny, rowy duże, drążki takie i normalnie dali łopaty: „Wykopcie sobie", tam wszyscy chodzili i załatwiali się.

Dorota Grzechocińska: W którym miejscu to było?

Edward Remliger: To, proszę pani, jak się wchodzi na lewo, na górce tam. Po lewej stronie, w lewą stronę się tam szło. Bo my byliśmy w prawej, zaraz były te właśnie pomieszczenia, tam u góry to były właśnie te lochy, gdzie ci Żydzi byli i potem tam była właśnie ta latryna, tak zwana. To po lewej stronie to było, jak się wchodzi tą główną bramą. Ja tak zapamiętałem.

Dorota Grzechocińska: Była jedna brama, czy dwie?

Edward Remliger: Ja pamiętam o jednej bramie, ale może była i druga, ale ja pamiętam tę główną koło kuchni. Bo kuchnia była niżej. Taki nieduży budynek parterowy i tam była kuchnia.

Dorota Grzechocińska: A gdzie było biuro na przykład? Gdzie esesmani?

Edward Remliger: Ojejku, to już trochę gorzej. Tego nie pamiętam.

Dorota Grzechocińska: A jak wyglądały posiłki?

Edward Remliger: Posiłki to jak mówiłem, czarna kawa rano, chleb dzielony, razowy, pamiętam, że był razowy chleb, a na obiad była zawsze, tylko to pamiętam, tak jak powiedziałem, to była tylko kasza, ziemniaki i właśnie często przypalone, nie wiem dlaczego. I to było takie wyżywienie. Nie było tego dużo. Najwięcej to było od osób, którzy nam pomagali. Ludzie z zewnątrz. My mieliśmy takiego wujka, Marzęckiego Józefa. On był kiedyś wójtem przed wojną. I on przywoził, ale wtenczas można było chętni po wodę, bo po wodę to jechało się beczkowozem, Niemcy zabierali jakichś dwóch czy czterech Polaków. Jeździli do tego Stanisławowa, tam nabierali tę wodę, bo tam wody innej, źródła wody nie było. Tylko ta beczka, co dowozili do tego obozu. I wtenczas tam właśnie byli ci, co nas chcieli odżywiać. Zbierali tę żywność, właśnie ten Marzęcki ze Strachowa i bo Niemcy rewidowali, jak widzieli na wierzchu, to chowali to ludzie w spodnie. Ja wiem, ojciec też tu w spodnie. I przywozili. To było takie wyżywienie. Kto miał rodzinę jakąś czy tego, to wspomagali nas. Bo więcej żywności nie było. Było ciężko z żywnością. Dla Żydów to chyba bardzo było ograniczone. Bardzo było ograniczone.

Dorota Grzechocińska: Te posiłki spożywaliście na zewnątrz? W jakichś swoich naczyniach? Czy tam były...

Edward Remliger: Nie, nie. My jakoś braliśmy chyba te sobie i jedliśmy u siebie. To jedliśmy tam w naszym... Tego dokładnie nie pamiętam, jak to się odbywało, ale tak to chyba było, że myśmy jedli jednak u siebie. Nie było tam stołówki żadnej. Nie, nie. To nie wchodziło w rachubę. W kolejce chyba stało się, nabierało się i tam kto, co, jakie naczynie miał. Czy dawali, tego też nie pamiętam dokładnie, ale tak coś się odbywało.

Dorota Grzechocińska: Czy pamięta pan jeszcze nazwiska sąsiadów? Tych osób, które...

Edward Remliger: Najbardziej to właśnie mówię, Kurkowski, Kowalkowski, to właśnie z tym Rysiem, co uciekałem, to byli ci Polacy. Tam chyba Wodzyńscy byli. Trudno powiedzieć. W każdym bądź razie duża część tych, co mieli

jakiekolwiek trochę lepsze dobra w Sochocinie, to wysiedlili właśnie. Tacy byli ludzie wysiedleni. Reszty nie pamiętam nazwisk tak dokładnie. Bo na przykład tych Kochanowskich nie wysiedlili, co ja tam się spotykałem w tej dużej rodzinie. Oni zostali. Tacy Tobolscy też byli w tym naszym domu. Też ich nie wysiedlili. Nie wiem dlaczego. Tak że parę osób, jakoś tak wybiórczo to było jednak robione.

Dorota Grzechocińska: Czy były jeszcze jakieś ucieczki w Forcie?

Edward Remliger: Ja potem się dowiedziałem, że jakaś Bocianówna uciekała, którą podobno zastrzelili, ale się dowiedziałem dopiero później. Prawdopodobnie takie ucieczki były młodych ludzi, a jedna to nawet tu czułem gdzieś właśnie, że przeżyła to. Zdążyła uciec. Ale rzadko chyba było, co wiedziałem. I ja, nieudolna ucieczka, która nam nie wyszła. Bez pojęcia.

Dorota Grzechocińska: A pamięta pan te osoby, które dowoziły jedzenie do Fortu? Kto to był?

Edward Remliger: Kto, co?

Dorota Grzechocińska: Kim były te osoby, które dowoziły jedzenie do Fortu?

Edward Remliger: Wiem, że to był ten Marzęcki. To byli ludzie ze Strachowa, czyli tam, co zostali, ale tylko pamiętam Marzęckiego. Wiem, że on był tym głównym takim „wodzirejem", który dowoził. Później wiem, że go zabrali do obozu i przeżył podobno obóz, ale jak już Amerykanie wyszli, bo on gdzieś był dalej, to nieodpowiednie jadł posiłki naraz, bo był wygłodzony, i umarł. Ale wiem tylko o tym właśnie Marzęckim Józefie. To była nawet rodzina, bo jego żona i moja mama to były siostry dwie. Z domu Stankiewicz. To pamiętam tylko jego, ten, co dowoził tę żywność i organizował. On był wójtem w Sochocinie przed wojną.

Dorota Grzechocińska: A czy pamięta pan jakieś sytuacje związane z Żydami? Czy jakąś agresję wobec nich, jakieś odbieranie im rzeczy?

Edward Remliger: To tylko ja pani powiem jedno, że w tym czasie my się baliśmy tych gestapowców. To jak oni przyjeżdżali, to my stamtąd uciekaliśmy. Tylko słyszało się krzyki i płacz. Nic więcej, jak oni ich zabierali. Widać było, że była większa agresja do Żydów, jak do Polaków. Bardzo zróżnicowana. Tak że takie rzeczy się odbywały, ale ja bezpośrednio sam nie widziałem tego.

Dorota Grzechocińska: A psy?

Edward Remliger: Co?

Dorota Grzechocińska: Obecność psów. Widział pan psy?

Edward Remliger: Psy były, ale jakoś nic mi z tymi psami, żeby jakieś zdarzenie. Nie zapamiętałem. Nie, nie, nie.

Dorota Grzechocińska: I jak długo przebywaliście państwo w Forcie?

Edward Remliger: Tam przebywaliśmy od chyba 6 marca do końca czerwca. Do końca czerwca, bo wojna wybuchła z Rosją gdzieś 22 czy 21 czerwca. Po tym wybuchu to właśnie, bo nas prawdopodobnie mieli wywieźć do Guberni, ale z uwagi na to, że zaczęła się wojna, to tak jak mówiłem, odpuścili, powiedzieli tak: „Wypuszczamy was, ale nie wolno wam wrócić do tych miejscowości, gdzie byliście, i tych domów. Idźcie, gdzie chcecie, tylko nie tam". To my pojechaliśmy do... Najpierw nie było gdzie, właśnie do takich Marzęckich. Pierwszy okres to byliśmy tam. Ja tam nawet pomagałem, krowy pasłem. Bo oni mieli duże gospodarstwo, ci Marzęccy, w Strachowie. Wieś była Strachów. I tam my do zimy byliśmy. Bo my mieliśmy taką... Ojciec miał, dostał od babci w Koziminach taką małą zagrodę. Tam było chyba niecałe cztery hektary ziemi, domek, ale tam był dzierżawca. Więc on do końca dzierżawy mógł być i my nie mogliśmy tam się zgłosić. Jak już on miał tam odejść, to my wróciliśmy, ale na razie też jeszcze był, to spaliśmy u babci, a mieszkanie było chyba trzy metry na cztery i tam musieliśmy spać na podłodze wszyscy, bo nas było w ten czas cztery osoby, rodzina, babcia piąta. Do czasu aż tamci dzierżawcy opuszczą, tak że pierwsze warunki były ciężkie, ale byliśmy na wsi. To już było troszkę lżej bo o żywność na wsi było w czasie okupacji trochę lżej. Można było po kryjomu świniaka zabić, ale to trzeba było uważać, bimber pędzić, to było normalne na wsi w czasie okupacji. Kiedy już ci odeszli, to przejęliśmy tę ziemię i zaczął ojciec gospodarować w czasie okupacji. Z tym, że mieliśmy tylko jedną krowę. To całe szczęście, bo trochę mleka było. Tak że tam przebywaliśmy przez ten okres okupacji.

Dorota Grzechocińska: A brat?

Edward Remliger: Brat był razem z nami, więc z bratem to tak jak powiedziałem, jak była ta czystka, raczej wybierali tych Polaków na te roboty za Niemcami to przebywał gdzieś półtora roku, nie wiedzieliśmy gdzie. Po półtora roku wrócił bardzo chory, a choroba polegała tym, że na całym ciele miał wrzody. I go zwolnili. Jak przyjechał to tutaj wydobrzał – w naszym domu – to zaczął kontakty z Bratkowskim. To był jego kolega na Poświętnym. I szukał pracy. Nie wiem dlaczego. I udało się tę pracę znaleźć w Płońsku, u takiego Niemca. Ja to mówię Cwilus, ale on się... Nie pamiętam dokładnie, czy ja dobrze wymawiam jego nazwisko. To był warsztat mechaniczno-samochodowy i zarazem była tam pompa benzynowa. I właśnie tę pompę benzynową obsługiwał mój brat. Dostał taką funkcję. Ale pompa benzynowa polegała na tym, że to było pompowanie ręczne, w lewą i w prawą stronę. I najpierw był taki litraż pięciolitrowy, napompował, spuszczając, pompował drugi pięciolitrowy i tak raz pięć, raz pięć, raz pięć. I to obsługiwał. Właśnie on tam pracował, ale był bardzo skryty. Nic nie mówił, że tam coś o jakiejś organizacji, a tam się już zawiązywała w Poświętnym organizacja AK-owska. Oczywiście go tam wciągnął ten Bratkowski. Tu nawet zdjęcia są jego. Wciągnął go do tej organizacji. I dowiedziałem się, też to jest ciekawostka. Zresztą to już od państwa chyba, że tam był jakimś tam przełożonym jakiejś grupy, no był załóżmy. Ale o niczym nie wiedziałem. Z tym, że była taka znów sytuacja. Jak jeszcze byliśmy u wujka Marzęckiego w Strachowie, tam stacjonowało wojsko węgierskie, bo Węgry współpracowały z Niemcami. I ja tam patrząc za stodołą, był taki kierat, co napędzał do cięcia sieczki. Ja nie wiem, panowie tego na pewno nie wiedzą, na czym to polega. I ja tam zauważyłem granaty. I kiedyś, ja nie wiem, jakaś taka rozmowa z bratem, ja mówię: „Wiesz, ja to widziałem, jak tam byliśmy u wujka, że te granaty tam leżały. Może one

tam są". To mówi: „Chodź, ja cię zawiozę rowerem tam". I pojechaliśmy. Ale już nie było tych granatów. Wtenczas był taki, mnie coś tknęło, mówię: „Co on się tak zainteresował tymi granatami?", ale nic więcej nie wiedziałem. To był taki pierwszy symptom, co się dzieje. No, tak.

Dorota Grzechocińska: A siostra?

Edward Remliger: Siostra była w domu i w zasadzie była cały czas w domu, bo ona była o dwa lata ode mnie starsza, od brata cztery lata. Ona była do momentu, kiedy zgłosiła się do pracy, bo taki był obowiązek, jak to się nazywało, cholera, to niemieckie biuro?

Dorota Grzechocińska: Arbeitsamt.

Edward Remliger: Arbeitsamt. Tak. Do Arbeitsamtu. I pracowała w szpitalu. Jako sprzątaczka ją zatrudnili w Płońsku. Ale w pewnym czasie przyszło zawiadomienie, potem się dowiedzieliśmy, że ona tam nie będzie pracowała, że dostanie skierowanie i ma jechać do Niemiec do fabryki amunicji. To znaczy jechać do Niemiec do pracy. Tak by trzeba było powiedzieć. I potem się okazało, że w tym szpitalu pracował lekarz jakiś ukraiński i on chciał swoją siostrę tam wyciągnąć, to musiał w zamian kogoś zdać, to tu nam mówi, to dali jej bilet. W Płońsku dali jej bilet i miała jechać sama. To całe perypetie tam mam w tej książeczce opisane jej, bo to ona pisała, to ona nam dokładnie opisała. I tam przebywała od chyba 1943 roku. Tam już była do zakończenia wojny.

Dorota Grzechocińska: Jeśli pan pamięta, to proszę opowiedzieć losy siostry w czasie tej podróży?

Edward Remliger: Tej podróży, to ona opowiadała, że byli zdziwieni, bo ciągle pytała się, gdzie ona ma jechać. To ci Niemcy ją ciągle kierowali, to jeszcze i tyle stacji, to jeszcze tyle. Ona nie wiedziała gdzie jedzie w ogóle. Ona po prostu płakała. I ją włączyli, potem się okazało, do grupy rosyjskiej. Ją potraktowali jak Rosjankę. Bo to wymiana była. Ukrainka, a to w tym czasie była Rosja wszystko radziecka. Tyle co ona to opowiedziała, że te perypetie na tym dworcu i to płakanie, gdzie jedzie, nie wiedziała, gdzie jedzie. To właśnie to jest trochę skąpe, bo ona nie zdążyła tego wszystkiego opisać. To, co opisała, to mamy tu w książeczce, co tam jeszcze mogło być. Nie pamiętam więcej, mówiąc szczerze.

Dorota Grzechocińska: A jak się potoczyły losy...

Edward Remliger: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Jak się potoczyły losy brata? Jak brat miał na imię?

Edward Remliger: Brat tam pracował. Właśnie były te pierwsze aresztowania, że on według mnie, jak już pierwszy raz uciekł, to powinien już nie wracać, a on myślał, że jest dobrze i wrócił. I wtenczas ja tylko się dowiedziałem w takim momencie, że brata aresztowali, bo ojciec pojechał, bo on zawsze do pracy dojeżdżał rowerem. Widzę, rower

przyprowadził, mówi: „Tadeusza aresztowali". Tylko tyle wiedzieliśmy. Ale z tym, że było ciekawie, że Niemcy do nas, do rodziny nie wtrącali się, nie pytali się. Albo on powiedział im, że nic nie wiemy albo coś. W każdym bądź razie nas liczyli, dlaczego on należy do AK. Dlaczego on należy, czy tam coś takiego. Niemcy nie przyjeżdżali do nas. Było to ciekawe. Tylko był ten moment właśnie, jak ojciec ten rower przyprowadził i dowiedział się, że jest aresztowany. To tyle. Aha, i wiedzieliśmy jeszcze jedną rzecz taką. Jak on siedział w więzieniu w Płońsku, tam był również aresztowany taki Prusin. To jest rolnik z Kozimin, ale on został aresztowany za to, że kontyngentu im tu nie odstawił. I on mówił, że brat jest tam takim trochę tłumaczem. Bo on był bardzo zdolny, samodzielnie uczył się języka. On mówi: „Teraz Niemcy przychodzą, to ja niemieckiego się muszę uczyć, ale przyjdą tu Rosjanie, ja muszę i rosyjskiego się nauczyć". To pamiętam te rzeczy. I on, ten Prusin mówi, że tak, jest tam Tadek i on jest takim trochę tłumaczem. Mówi, jak chodzą po celach, to jego biorą, żeby wyjaśnić sprawę, co mówią Polacy i przekazać Niemcom. To tylko taki był jeden sygnał z tego więzienia, brata, jak był. To jest do momentu właśnie...

Dorota Grzechocińska: Pamięta pan, kiedy aresztowano brata?

Edward Remliger: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Kiedy aresztowano brata?

Edward Remliger: No... To był chyba lipiec, bo to było jeszcze... Albo już wrzesień, pod koniec lipca, bo to jeszcze trochę... Tak, tak, było jeszcze koniec lipca. Chyba tak było gdzieś koło września. Już nie pamiętam dokładnie, kiedy był zaaresztowany. Ja tylko pamiętam, bo tego pierwszego aresztowania to nawet nie wiedziałem. Potem się dowiedziałem, a to drugie to wiedziałem, że jest aresztowany. Ale to chyba we wrześniu, jak się nie mylę, był zaaresztowany. Ale nie znałem sytuacji, co się stało. Ja dopiero teraz wiem, jaka była sytuacja. Jak to się stało, że... Bo to się zaczęło od Poświętnego wszystko tam. Bo tam zwozili broń po Powstaniu Warszawskim na Poświętne. Ja nie wiem, czy oni tam do naprawy, czy do zniszczenia. I tam właśnie się zaczęło to, że tę broń, ci akowcy chcieli to trochę zabrać im. I ktoś to zauważył. I od tego momentu zaczęły się właśnie te aresztowania na Poświętnym. Bratkowskiego i mojego brata Tadeusza. Tam te aresztowania nastąpiły. Z tym, że on był dyskretny, przynajmniej ja nie wiedziałem, ale rodzice chyba też nie wiedzieli, że należy gdziekolwiek i działa. Wiem, że często przebywał na Poświętnym, bo tam była komórka akowska, okazało się. I tam często przebywał, między innymi.

Dorota Grzechocińska: Jak zginął brat?

Edward Remliger: Brat był w więzieniu. To wszystko się zaczęło jak Niemcy jakieś na dwa dni, bo 19 stycznia wyzwalali Płońsk Rosjanie. To chyba na dwa dni przed tym wywieźli ich na piaski i tam rozstrzelali. On był takimi sznurkami powiązany, jak go znaleźliśmy, ręce. I znaleźliśmy łuskę, jeszcze była od pistoletu. Taka nieduża, mała. Tam obok jak go zabieraliśmy. To ogłosili, że wszyscy tam są wymordowani. Myśmy pojechali, żeby rozpoznać. To wielki płacz. Pół Płońska i okolic płakało, bo odkryto taki masowy grób. Tam było chyba 76 zastrzelonych ludzi. I każdy szukał swojego. To był problem, tak. Myśmy go znaleźli szybko, bo wiedzieliśmy w jakim garniturze. Z sąsiadem z Kozimin, takim Prusinowskim pojechaliśmy, żeby zabrać tego syna sankami, bo to była trochę zima jeszcze. Wiem, że sankami

pojechaliśmy tam i na tych sankach wieźliśmy go. Jak już go tam zabraliśmy i przez rynek przejeżdżaliśmy. I pamiętam taki moment, tam na rynku pracowali Niemcy. Już niewolnicy. Bo to już był 1945 rok. I ja mówię, wyrwałem się z tych sanek, mówię: „Ja ich będę tu bił. Oni mi zamordowali..." Taki odruch miałem jak gdyby, żeby się pomścić za swojego brata. Że jego zamordowali. I zawieźliśmy go do domu. My wzięliśmy do domu. W tym czasie było bardzo krucho z deskami. Nie wszyscy zostali pochowani w trumnach, bo nie było desek. Drewna nie było. Dzięki temu, że my mieliśmy wujka... Chcąc, pochować brata, w tym czasie było bardzo krucho z deskami. Ale w związku z tym, że my mieliśmy wujka, to był znów brat mojej mamy w Płońsku, który wyrabiał trumny. Taki Stankiewicz Jan. I dzięki temu te trumny, tam ojciec pojechał i ten Jasiu Stankiewicz zrobił nam tę trumnę. To mój brat jest w trumnie pochowany, bo dużo pochowano tak bez trumny, bo nie było. Jak pamiętam, jak ten pogrzeb się odbywał, ten grób był taki duży chyba gdzieś na 10 metrów i na 5, albo i 15 na 5 metrów i układali. Tak wiem, że mój brat jest w drugiej warstwie ułożony. Jedna trumna na drugiej, a ci bez tego, co nie mieli trumny, obok było ułożone. I pamiętam w którym, w lewym rogu, jak się patrzy na ten grób, to tam mój brat leży pochowany. Tak że dzięki temu mój brat pochowany. Oczywiście była taka tradycja, że były te litanie i tak dalej w domu, i potem się odprowadzało do figurki za wioską zawsze. Wieś szła, tak że wszyscy szli, i na wozie była trumna brata, do figurki. Tam jeszcze się pomodlili i od tej figurki dopiero został zawieziony na cmentarz do Płońska. I tam pochowany we wspólnym grobie.

Dorota Grzechocińska: Panie Edwardzie, pan był świadkiem tej ekshumacji?

Edward Remliger: Ja byłem świadkiem pochówku, pamiętam, przed oczyma mam to wszystko. Byłem. Ja byłem, mama była i brat. Siostry nie było, bo ona była w Niemczech. Tylko ja byłem. To się cieszyli bardzo, jak siostra z Niemiec wróciła, że mamy chociaż drugie jeszcze dziecko, bo nie wiedzieli też co z siostrą, nie wiedzieliśmy, czy żyje, czy nie żyje. Ona się dostała pod okupację angielską. Tam Anglicy wyzwalali ją w Niemczech.

Dorota Grzechocińska: Kim dla pana był brat Tadeusz?

Edward Remliger: Ja go zawsze oceniam, dzisiaj dopiero go oceniam, że on był z naszej trójki dzieci najbardziej taki inteligentny. Tak nazwijmy. Inteligentny. Ale umiał się szybko uczyć. Był zdolny. Najbardziej zdolny był. Może nie inteligentny, najbardziej zdolny był. On się sam tego niemieckiego nauczył jako samouk. Trochę jak tam pracował u tego Niemca i potem sam z tych książek się uczył. Wiem, że tak nawet była jedna książka pisana gotykiem, to takie całkiem inne trochę są litery. I dlatego jak on mnie uczył jeżdżenia na łyżwach pierwszy raz. A jeszcze przed tym nawet jak ukończył szkołę, a jeszcze o bracie by należało wrócić, to jak mówiłem, że nie mógł do tego liceum jeździć, bo nie było pieniędzy, to został zatrudniony jako goniec w gminie w Sochocinie. Bo tam do nas przychodził sekretarz i stołował się tej gminy i tam zatrudniony był w 1939 roku, bo ukończył chyba w 1938 albo 1937 roku. W 1937 roku chyba ukończył szkołę podstawową. I tam pracował. Tak że był bardzo taki zdolny chłopak. Nieduży był, niewysoki, ale bardzo zdolny.

Dorota Grzechocińska: A wtedy jako dziecko jak pan go odbierał, czy był dla pana ważną osobą?

Edward Remliger: Ja wiem? Tu jest trudno ocenić i powiedzieć. On był taki trochę... Nie wszystko mówił, nie wszystko

powiedział. Ale z tych rzeczy, no, teraz tak ocenić go jako starszy człowiek, to bym nie umiał na razie. Nic tak sobie nie mogę skojarzyć. W każdym razie, że był brat. Dobry brat.

Dorota Grzechocińska: Brakowało go?

Edward Remliger: Brakowało go jako brata. A najwięcej to widziałem, że przeżywa matka. Mama była bardzo. Ona pomimo, że wiedziała, że go pochowaliśmy, mówi: „To jest nie on. On wróci jeszcze". Ale to już matczyna troska była.

Dorota Grzechocińska: Po wysiedleniu z Pomiechówka przychodzi to „wyzwolenie", tak?

Edward Remliger: Tak.

Dorota Grzechocińska: Co się dzieje po wojnie?

Edward Remliger: Jesteśmy na tej wiosce, a jeszcze były dwa zdarzenia, jak byliśmy w Koziminach i już się kończył front. I artyleria niemiecka stanęła za wsią, a front nacierał tam od wschodu. I wtenczas Rosjanie puścili Katiusze i zapaliła się u nas szopa. Ja miałem takie zdarzenie. Szopa, a obok tego była stodoła, ale w tym czasie były kryte dachy słomą. To mi ojciec mówi: „Ty idź szybko po drabinie wejdź na stodołę, my ci będziemy wodę podawać, żeby się stodoła nie zapaliła. Szopa, trudno, niech się spali. Bo dach był ze słomy, a mury były z gliny, bo kiedyś to się murowało z gliny szopę. Ja tam to ratowałem. To już wody zabrakło w studni. Ledwo to uratowałem. Ja byłem tam na górze, to wodą lałem. I mówię: „- Ja już nie wytrzymuję, już mnie dusi. - Poczekaj, jeszcze trochę". I udało mi się tę stodołę uratować. Jak ten szrapnel nam zapalił. Tam było. Ale to pierwsze takie zobaczenie Rosjan, to oni nad ranem tak jakoś byli, do naszej wioski zeszli. Tacy ubrani na biało. I takie było zdarzenie też jedno, troszkę takie humorystyczne, że przyprowadził konia na drugą część wioski i mówi: „Daj pół litra wódki, ja ci tego konia dam". I ten gospodarz, tak już było trochę szaro, nie poznał, czyj to koń, dał mu i wziął. Okazało się, że był koń tego sąsiada z pierwszych budynków wioski. Tam zabrał i mu sprzedał. To takie odpowiedzialne nie było. A my się chowaliśmy w takiej piwnicy. Mieliśmy przed tym jak te szrapnele leciały i tak to wojnę przeżyliśmy. Aha, w wojnie, w czasie okupacji to u nas nie było... Aha, na okopy jeszcze zabierali. Bardzo często, mnie również też. Mnie zabierali chyba ze trzy razy na okopy. Z tym, że raz pojechałem, ale zawsze im uciekałem. Nawet do Sochocina mnie nie dowieźli, a już uciekłem. A drugi raz zawieźli nas pod Pułtusk, na Narwi tam kopali okopy, bo się front zbliżał i z takim Biernatowiczem stamtąd też rano uciekliśmy. To były takie ucieczki przeciwko. I potem mama mnie chowała w szopie, tam na górę na słomę. Przychodził sołtys, mówi: - „Edek nie dojechał. Gdzie on jest? - Nie wiem, gdzie on jest". A ja byłem tam ukryty. Schowałem się, żeby mnie drugi raz nie zabrali do kopania okopów. Nawet moją mamę zabrali do kopania okopów przed samym zakończeniem wojny w 1944 roku. Zabierali i tam musieliśmy kopać te okopy.

Dorota Grzechocińska: A po wojnie jak się państwa losy potoczyły? Zostaliście tam na miejscu?

Edward Remliger: Tak. To już na tej wiosce zostaliśmy, na tej gospodarce zostaliśmy. Ojciec, mając znajomego takiego nadleśniczego Borera został gajowym. Taki rewir miał i pilnował lasu. I tę gospodarkę prowadziliśmy. Siostra

dopiero wróciła chyba w 1946 roku. To ona też poszła pracować. Jeszcze szkołę żeby kończyć, bo ona tam miała cztery klasy. Ja miałem dwie i poszła pracować do nadleśnictwa jako księgowa i tam pracowała, jak to mówią, do końca swojego życia w nadleśnictwie. A ojciec był tym gajowym, potem do jakiegoś czasu, tam chyba do 1948 czy 1949 roku, tylko na emeryturę nie przeszedł. I to gospodarstwo prowadziliśmy. Tam były 3 hektary chyba 700, w Koziminach Nowych. I ten domek tam w tej chwili, co mieszkamy, to ma sto lat ponad już w tej chwili. I tam spędziliśmy. A ja to przyspieszyłem trochę to uczenie się, bo kończyłem trzy, potem skończyłem tylko szóstą klasę i potem dopiero do gimnazjum poszedłem. Tak że też takie przyspieszenie było trochę, na korepetycje się chodziło, żeby nadrobić ten czas stracony, przez okupację, nauki. I tak wyszło, że najpierw w Płońsku trochę chodziłem, a potem chodziłem aż w Żywcu. Ukończyłem technikum przemysłu leśnego. A potem w Warszawie technologię drewna w SGGW. Tak że to takie moje krótkie...

Dorota Grzechocińska: Czyli jak pan się znalazł w Gdyni?

Edward Remliger: Proszę?

Dorota Grzechocińska: Jak pan się znalazł w Gdyni?

Edward Remliger: W Gdyni jeszcze nakaz pracy dostałem. W 1957 roku, zaraz po studiach. Nakaz pracy dostałem i tu mi się podobało na Wybrzeżu. I dlatego tu przyszedłem. I tu pracowałem do końca. W tych różnych przedsiębiorstwach, ale związanych z przemysłem drzewnym i meblarskim. Najpierw pracowałem w takiej beczkarni, potem pracowałem w fabryce mebli i potem w przemyśle drzewnym. Tak to ten los się mój zaczął.

Dorota Grzechocińska: A co pan myśli o tym upamiętnieniu Fortu? Co tam powinno się znaleźć? Jak to miejsce powinno wyglądać dzisiaj?

Edward Remliger: Najpierw to bym musiał to zobaczyć. Inne spojrzenie jak się zobaczy. A mniej więcej wiem, jak było. To bym mógł coś powiedzieć na ten temat, bo ja nie mam pojęcia w tej chwili, jak ten Fort wygląda. Szkoda, że wyjechałem. Mogłem to wcześniej jeszcze zobaczyć, ale... To ta choroba mi się zaczęła rok temu, to bym mógł jeszcze...

Dorota Grzechocińska: A zna pan losy tego Fortu później, po wysiedleniu, co tam się działo?

Edward Remliger: Nie wiem. Nie. Właśnie, że nie znam i to mnie trochę ciekawi dalej, bo chciałbym wiedzieć. Nie znam, nie znam. Ciągle myślałem, kiedy ja odwiedzę ten Fort. Jakoś tak się nie układało, a powinienem wcześniej to odwiedzić, żeby zobaczyć, co tam jest. Nie po tylu latach, co teraz. To już jest kupa czasu. Dużo.

Dorota Grzechocińska: Panie Edwardzie, dziękuję bardzo za tę możliwość rozmowy.